

N. S. Lincoln.

Trup w kasie.

Amerykański romans kryminalny.

1

ROZDZIAŁ I.

Oko w oko.

Cichy szmer, jakby skrobanie po szkle, przerwał ciszę. Po chwili skrobanie powtórzyło się znowu. W oknie ukazała się ręka, która powoli pracowała około szyby. Jeszcze kilka dziwnych szmerów w oknie, szybą naciskana umiejętnie wyleciała i z brzękiem upadła na dywan rozesłany na ziemi, który stłumił hałas. Przez otwór wsunęła się zręcznie ręka i specjalnym przyrządem przecięła biegnący pod oknem drut aparatu sygnałowego. Następnie ta sama ręka odsunęła rygiel u okna. Skrzydła okna rozwarły się, a na parapecie zarysowała się sylwetka mężczyzny na tle rozgwieżdżonego nieba. Cichutko spuścił się do środka i stanął na pierwszym stopniu schodów, prowadzących na piętro.

Przez kilka sekund stał ukryty za ciężką firanką i nasłuchiwał. Wkradnięcie się jego do domu nastąpiło tak cichutko, że nikt się nie obudził. Nabral więc odwagi i wsłuchawszy się dobrze w panującą wokół ciszę, powoli zaczął stępować po schodach na dół. Po chwili ostrożnego przemykania się znalazł się w obszernej hali dolnej, poczem zwrócił się na lewo i zatrzymał przed drzwiami pokoju.

W ogromnej ciszy nocy słyszał własny oddech. Powoli otworzył drzwi i wydobywszy z kieszeni elektryczną latarkę, błysnął nagle i oświecił snopem światła wnętrze pokoju. Jeden rzut oka przekonał go, że w środku prócz staromodnego ciężkiego urządzenia, nikogo nie ma. Jak tylko o tem się przekonał, pospieszył nocny gość, nie tracąc czasu, ku drzwiom salki, które widniały pod ścianą. Skradał się cichutko i bardzo zręcznie. Drzwi te nie były zamknięte, a kiedy je otworzył, w blasku latarni ukazał się przód wielkiej kasy pieniężnej.

Tajemniczy gość ustawił na przysuniętym stolku latarkę i zaczął pracować. Wprzód i wtył obracały się kombinacje cyfr pod sprawnymi palcami właściciela. Bystre jego ucho, przyzwyczajone do tego rodzaju prac, rozwiązało wnet trudne zadanie. Odetchnął z ulgą, obtarł sobie pot z czoła, którym przy wyłożonej robocie się pokryło i poprawił potem szybko czarną maskę, jaką miał na twarzy.

— Prawdziwe szczęście, że to staromodna kasa — szepnął do siebie. — W każdym razie kosztowała mnie trzy kwadransy czasu i roboty, a czas jest w tej chwili bardzo drogi.

Pod dotknięciem jego ręki obróciły się bez szelustu drzwi kasy na naoliwionych zawiasach. Złodziej chwycił latarkę i skierował snop elektrycznego światła do środka. Przez moment latarnia paliła się jasnym światłem, nagle zgasała w bezsilnej ręce.

Na miłość Boską! Czyżby był w obłędzie? To, co ujrzał, musiało chyba być złą, wywołaną silnym wzburzeniem, fantazją jego rozigranych nerwów. Ostatecznym wysiłkiem woli pokonał w sobie nagłą słabość, jaka zaczęła mu mrozić zmysły. Powoli, cał po calu, podniósł lampę do góry i oświecił to straszne coś, co wyrzało ku niemu z za drzwi kasy.

Oko w oko spojrzeli ku sobie: śmierć i życie. Złodziej z trudem tylko oddychał, pokonany wzruszeniem. Maską zawadzała mu na twarzy. Po chwili znowu światło zgasało. Znajdował się w strasznym stanie ogromnego przerażenia, które siłą tylko pokonał. Wola odmawiała mu posłuszeństwa, obudził się tylko instynkt, który zaczął za niego pracować. On nie był zdolny świadomie do niczego. Ręka jego sama zaczęła szukać w ciemnościach drzwi kasy. Dopiero w chwili, kiedy zamknęła się przed nim, odzyskał znowu świadomość siebie i swego położenia.

Cicho i tajemniczo, jak przyszedł, tak znikł w ciemnościach nocy.

ROZDZIAŁ II.

Tajemnica kasy.

— Na pomoc! Mordercy! Mordercy!

Straszny ten okrzyk rozległ się w całym domu, budząc wszędzie echo trwogi.

W jadalnym pokoju siedział przy śniadaniu generalny adwokat i jego córka. Właśnie sięgał po leżącą obok talerza gazetę, gdy dobiegł go straszny

okrzyk. Zerwał się z miejsca, nie rozumiejąc w pierwszej chwili tragicznej grozy. Głos wołającego zbliżał się szybko. Po chwili drzwi popchnięte silnie ręką rozwarły się, a do jadalni wpadł jego prywatny sekretarz.

— Na Boga Clarku, co się stało? — zawołał Trevor, chwytając za ramię slaniającego się prawie młodego człowieka.

— Ojcie, ojcie, pozwól mu przyjść do siebie! Przecież widzisz, że jest ogromnie wzburzony — prosiła Beatrycza i położyła mu rękę na ramieniu.

Wilkins, spokojny zwykle służący, wyjątkowo został wytrącony z równowagi, pomagał też swemu panu, aby uspokoić Alfreda Clarka i usadowić go na krześle. Pół omdlałego podał następnie szklanke mocnej wisky.

— To... chodzi... o kasę... panie szefie... — wykrztusił po chwili Clark, łapiąc oddech.

— O kasę? — dopytywał Trevor zdziwiony.

— Tak. Ona... jest w środku... nieżywa!

— Ona?... Kto?

— Pańska żona, panie Trevor.

— Moja żona? Ależ to nie możliwe, Clarku. Ona je śniadanie w swoim pokoju.

— Przepraszam jaśnie pana — wtrącił w tej chwili Wilkins, Marya właśnie wróciła z góry z powrotem i przyniosła całą zastawę nienaruszoną. Powiada, że pukała dłuższą chwilę, nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi.

Trevor wymienił z córką przerażone spojrzenia. Trudno było w tej chwili rozstrzygnąć, które z nich bardziej zbladło. Bez słowa obrócił się w miejscu i pobiegł ku drzwiom. Krzyki Clarka zwały się prawie całą służbę, która stała w sieni, cisnąc się przed jego biurem. Trevor zdawał się tego nie widzieć. Szybko, energicznym krokiem wszedł do pokoju kasowego i stanął przed otwartą kasą. Okrzyk strasznego przerażenia wyrwał mu się. Przez chwilę wszystko wokoło niego zatrzęsło się i zakolysało, w uszach szumiało mu, jakby kaskady wody spadały z gór.

— Ojcie?! —

Nagle szarpnięciem zebrał wszystkie siły.

— Nie wchodź tutaj — rozkazał energicznie córce, która przerażona stała pod drzwiami pokoju. — To nie widok dla ciebie. Wilkins, proszę natychmiast wezwać doktora Dawisa. Clark, zamknij pan drzwi i przypilnuj pan, aby nikt prócz doktora tutaj nie wszedł. Zatelefonuje pan potem do ministerium, że dzisiaj do biura nie przyjdę.

Rozkazy te zostały natychmiast wykonane. Teraz powrócił Trevor do strasznej kasy. Wewnątrz siedziała owa cicha postać, która zdawała się stać na straży jego mienia. Nielitościwe jasne światło słonecznego poranka oświeślało piękną twarz. Przepiękne włosy tytanowskie, jej największa ozdoba, były ślicznie upięte na zgrabnej główce. Wycięta sukienka wieczorowa była świeża i trochę tylko w nieporządku. Postać cała klęczała na lewym kolanie, całym ciężarem ciała opierając się na lewej ręce, silnie przyciśniętej do boku żelaznej kasy. Nieszczęśliwa znajdowała się tuż za żelaznymi drzwiami, tak blisko, że dotykała prawie ich wewnętrznego obramienia. Usta nie były domknięte, niebieskie oczy patrzyły szeroko przed siebie, a źrenice były silnie powiększone.

Nie trzeba jednak było zupełnie badać puls, lub serca. Na pierwszy rzut oka Trevor poznał, że kobieta ta już umiera.

Śliczna młoda jego żona! Edmund Trevor jęknął głośno i ukrył twarz w dłoniach. Clark przyglądał mu się chwilę z boku z wielkim współczuciem i w smutnem milczeniu. Przystąpił następnie spokojnie do okna i wyglądał przez nie, nie widząc jednak nic przed sobą.

Wspaniały ten pałac wznosił się na jednej najelegantszych ulic Waszyngtonu, na rogu alei Massachusetts i placu Dupont. Kiedy Trevora zamianowano generalnym adwokatem, wynajął dom na dłuższy czas. Wybrał go dlatego między wielu innymi, że w stronę dwudziestej ulicy dom ciągnął się bardzo głęboko, przez co jadalnia, biblioteka i salon mogły być obok siebie.

Na prawo obok holu znajdował się mały pokój gościnny, a za nim ogromny ośmiokątny pokój, mający szklane drzwi, prowadzące do ogrodu, który obrat sobie na swój gabinet, a właściwie pracownię. Specjalnie cieszył się żelazną kasą pieniężną, wmurowaną w ścianę, która też przy niejednej już sposobności okazała się bardzo użyteczną.

Delikatne pukanie w drzwi przerwało ciszę.

— Doktor Davis — zaanonsował Wilkins przyciszone głosem.

— Przybywam natychmiast — rozpoczął lekarz, podchodząc szybko do pana Trevora. W tej chwili spojrzał w otwarte drzwi kasy i okrzyk przeraże-

nia wydarł mu się na widok nieżywej postaci. Instynktownie cofnął się kilka kroków, w tej chwili jednak opanował się. Obowiązek wzywał go, więc przezwyciężył przerażenie i zaczął szybko badać panią Trevor. Robił to jednak drżącymi rękoma i tylko powierzchownie.

Kiedy po chwili powstał z klęczek i odwrócił się, spotkał utkwione w siebie spojrzenia obu mężczyzn; wstrząsnął przecząco głową.

— Życie uleciało już przed kilku godzinami — powiedział — już ciało zaczyna tężeć.

Trevor załkał z cicha. Rozum dawno mu to już powiedział, zaraz jak tylko ujrzał ją tam, w tej strasznej kasie. Ale mimo to zdawało mu się, że powinien mieć jeszcze jakąś nadzieję.

— Czy można ciało przenieść do jej pokoju sypialnego? — zapytał po chwili, kiedy na tyle się opanował, że mógł przemówić.

Lekarz przyzwolił skinieniem głowy, poczem z pomocą Clarka, Wilkinsa i szofera przeniesiono kostniejące ciało pięknej, młodej kobiety na górę do jej pokoju.

Po chwili powrócił pan Trevor do biura i przy pomocy Clarka sprawdził według wykazów zawartość kasy. Właśnie kończyli to zajęcie, kiedy w drzwiach biura stanęła Beatrycza.

Młoda panna Trevor była znaną pięknoscią w wytwornych towarzystwach Nowego Yorku, Paryża i Waszyngtonu. Wysoka i doskonale zbudowana, wyróżniała się wśród swych rówieśnic majestatyczną wprost postawą. Jeśli by się chciało być zupełnie ścisłym, to nie można jej było uważać za skończoną pięknosc, o ile szło o urodę. Rysy twarzy miała dosyć nieregularne. Mimo to jednak było dosyć mężczyzną a może nawet kobiet, którzy ją uwielbiali z ślepota wprost niewolników.

Matka odumiała ją, kiedy liczyła zaledwie pięć lat. Przez długi czas żyła samotna przy boku swego ojca. Tak było aż do osiemnastego roku jej życia. Wtedy pan Trevor spotkał pewną pięknosc, która uczyniła na nim silne wrażenie. Zakochał się w tej obcej, oświadczył i ożenił. A teraz nagle kończyła ona swe życie w tak dziwny i zagadkowy sposób.

— Ojcie, ja muszę dokładnie wiedzieć, co się stało.

— Ależ moje drogie dziecko — głos jego zwykle surowy i zimny przybrał bardzo czule brzmienie — przypuszczam, że ci już wszystko opowiedziano. Helena weszła widocznie do kasy, aby schować swoje kosztowności. W niewytłomaczony sposób drzwi zamknęły się za nią, a ona, pozostawiona wewnątrz bez powietrza, udusiła się. Jakież to straszne... przerażające — głos zadrżał mu z wewnętrznego wzruszenia — ale... Wilkins, co tam nowego?

— Detektyw z departamentu policji, jaśnie panie.

— Detektyw? A ten tu poco? Czy pan i tam telefonował, panie Clark?

Sekretarz zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie? ano — wpuść go tutaj, Wilkins.

Po chwili wsunął się cicho zapowiedziany. Nie wyglądał zupełnie na detektywa. Był skromnie ubrany, w średnim wieku, trzymał się prosto jak żołnierz. Służył pięć lat w konnej policji północno-zachodniej Kanady, a służba ta wycisnęła na nim swoje piętno.

— Dzień dobry, panie generalny adwokacie. — Ukłonił się równocześnie wszystkim, którzy byli zebrani w pokoju. — Przepraszam, że przeszkadzam. Mam jednak małą misję, którą załatwię w kilku minutach.

— Proszę, siadaj pan, panie...

— Hardy — James Hardy, proszę pana. Sprawa z którą przychodzę, przedstawia się tak. Już prawie o świcie dzisiejszej nocy policyant, pełniący służbę na tej ulicy, O'Grady, zauważył człowieka, który wyszedł z dziedzińca pańskiego domu. O'Grady zaczął go natychmiast ścigać, dogonił i zaaresztował właśnie w chwili, kiedy tenże chciał odjechać po ciążem do Nowego Yorku. Sprowadził go następnie na inspekcję policyjną i kazał go tu jako podejrzanego zatrzymać w aresztach. Ponieważ drab ten miał przy sobie wszystkie narzędzia złodziejskie, nawet maskę i rewolwer, przysłał mnie mój szef do pana z zapytaniem, czy pan nie został tej nocy okradziony.

— Nie panie — odpowiedział Trevor. — Właśnie przeglądałem zawartość mej kasy. Nic nie zostało ruszone. Z twoich rzeczy, Wilkins, pewnie także nic nie brakuje? — Dodał, zwracając się do poblądnęło służącego.

— Nie, jaśnie panie, nic zupełnie.

Wilkins powiedział to jednak drżącym głosem i patrzył na urzędnika policji oczyma, w których widocznie malował się przestach.

— Może ów człowiek próbował się zakraść, ale porzucił swój zamiar, jak przekonał się, że wszystkie okna są dobrze zaryglowane. Ja jestem... ciągnął